

Tomasz Kubikowski
Akademia Teatralna im. A. Zelwerowicza
Warszawa

Wokół słowa na „p”

Sens konferencji polega na wymianie myśli. To, co się mówi, powinno więc być elementem kontrapunktu, wchodzić w chór, wzmacniać się w tym chórze albo przekształcać; skłaniać do improwizacji i samo zawierać jej elementy. Taki tekst jak ten – napisany na konferencję zawczasu – zawsze będzie trochę nie *à propos* i lekko autystyczny; będzie śpiewką przy goleniu.

Trzeba się z tym pogodzić i nucić sobie, co w duszy gra, nie siląc się na Carusa i pilnując tylko, żeby nuty jakoś rezonowały z zagajeniem profesor Ratajczakowej. Pierwszy ton podaje zawsze mi bliskie, a wymienione przez nią mimochodem nazwisko Stefana Themersona. Themerson był awangardystą śmiałym, nieugiętym, nie znającym kompromisów i konsekwentnie idącym za swymi odkryciami, chociażby ta konsekwencja skazywała go na byt w głębokiej niszy. Jednocześnie był też człowiekiem o głębokiej kulturze myślenia i o żelaznej tego myślenia dyscyplinie: nie przyjmował kompromisów także i w tym zakresie.

Był zatem przedstawicielem tej znakomitej formacji polskiej kultury humanistycznej, która rozwinęła się w II RP i którą z perspektywy czasu można uznać za bodaj najpoważniejszy w XX wieku wkład kultury Polski w powszechną kulturę Zachodu, czy też w cywilizację atlantycką, co jednak w naszym kraju wydaje się dziś zupełnie zapomniane. Myślę o formacji, którą ściśle wiąże się z dorobkiem szkoły lwowsko-warszawskiej, szerzej zaś – z promieniowaniem tej szkoły i wyznaczanych przez nią standardów myślenia: tak zwanego „porządnego myślenia”. Chodziło o to, aby możliwie starannie oddzielać w wypowiedziach funkcję poznawczą od perswazyjnej, w sporach – dialektykę od erystyki (czyli spory dociekliwe od wojowniczych, według słownictwa Kotarbińskiego); w miarę możliwości wyjaśniać pojęcia, a pozostałe niejasności oznaczać i nie korzystać z nich po cichu; nie ulegać ideologiom i nie narzucać ich innym; uznać logikę – jak powiadano – za etykę myśli. Fakt symboliczny: to szkoła lwowsko-warszawska dostarczyła nauce najważniejszą w ubiegłym wieku, do dziś stosowaną, tak zwaną semantyczną definicję prawdy.

„Niech pochwalona będzie Bezstronność Myślenia!” – pisał Themerson. Nad wszelkie aksjomaty, przykazania, nawet ponad miłość jako motor płomiennych postępów, cenił on sobie przyzwoitość. I sam uśmiechał się nad tym nieefektywnym słowem.

Chętnie go wspominam, dlatego, po pierwsze, że wartości Themersonowskie i lwowsko-warszawskie nieobecne są dziś w naszym dyskursie publicznym. Ceni się raczej erystykę, ideologię, perswazję; doraźny retoryczny zysk. Dotyka to wszystkich sfer życia i nasza nauka także nie pozostaje bezpieczna. Tym bardziej zaś podatna na odkształcenia, że przecież niszowa, niszowego i nie zawsze traktowanego poważnie zjawiska dotycząca, zagrożona marginalizmem, wciąż niepewna swego. Z obaw przed filatelistyką i „badaniem owadzich nogów” uciekająca w podszyte kompleksami i snobizmem efekciarstwo, z obaw przed tym ostatnim zapadająca w ciasny fundamentalizm. Na każdym z tych biegunów radośnie chwali się, że właśnie daleka jest od przeciwnego, nie dostrzegając, że jest lustrzanym odbiciem tego, z czym walczy. Czy Themerson i jemu podobni mogą być przewodnikami w takim błędnym kole? Jestem tego pewien: uczą znosić frustracje, nie zakopując się w niszy tyłem do świata ani nie machając histerycznie, by nas dostrzeżono; uczą rafinować myśl, unikać znanych już błędów i nade wszystko – nie podnosić sztucznie własnej myśli przez poniżenie innych. Liczne pisma Themersona świadczą o podstawowym dla niego i starannie pielęgnowanym imperatywie solidarności awangardy. Niezależnie od radykalnych czasem różnic programowych, w tamtej niszowej formacji – tak jak Themerson ją przedstawia – ceniło się kolegów i ich dorobek, chociażby nam daleki, i świadczyło się o nim. Owszem, powinniśmy się spierać, bo i poniekąd po to utrzymuje nas społeczeństwo. Natomiast etyka sporu jest jednym z najważniejszych czynników, nie pozwalających, by myśl się degradowała. Nowe narzędzia poznania częściej uzupełniają stare, niżby je zastępowały; żadne z nich nie stanowi *Wunderwaffe* i warto – niezależnie czy nowych, czy starych narzędzi się używa – pamiętać, że – jak pisał Raszewski: „każdy może mieć trochę racji. (Skoro nikt nie może mieć całej racji, a to akurat w odniesieniu do humanistyki jest jasne)”.

Piszę o tym wszystkim, jako że – to drugi wątek, który powinienem podjąć z zagajenia – performatyka u nas ma się coraz lepiej, przechodzi dziecięce choroby, wzbudza mnóstwo ironicznych prychnięć i otwartej niechęci, skłonnych do świętych wojen pobudza do nich znakomicie, a z kolei sama tak szeroko rozlała się po powierzchni, odmienia się przez tyle przypadków i w tak różnych zastosowaniach wyskakuje w miejscach tak niespodziewanych, że mechanizm asymilowania nowości można dziś chyba na jej przykładzie śledzić najlepiej.

Zwłaszcza widać zamęt, jaki towarzyszy pojawieniu się nowości. Tym większy, że sama kategoria „performansu” jest, jak wiemy, wieloznaczna, znaczeniowo przebogata i wciąż nie we wszystkich swoich znaczeniach przyswojona; stąd też z jednej strony stosuje się ją czasem na chybił trafił, jako znak nowości; z drugiej strony słusznie w takich

zastosowaniach irytuje, bo właśnie dałoby się wówczas podobnego znaku z powodzeniem uniknąć – skoro nic nowego w gruncie rzeczy nie proponuje.

Część tych wielu znaczeń jest już – myślę – jasna. Nie trzeba więc chyba dziś więcej pisać o tym, że „performans” nie odnosi się tylko do „sztuki performansu”, że nie jest równoznaczny z „widowiskiem” ani też nie stanowi szczególnej jego postaci. Ostatnie z przeświadczeń łączy się jednak z szerszym problemem, który warto wskazać. Otóż „performans” łączy się u nas wciąż raczej z „występem” niż z „wyczynem”; z zachowaniem wobec innych raczej niż z samym zachowaniem: działaniem prowadzonym wobec wymyślonej, wyobrażonej lub zapamiętanej zasady czy wzorca.

To drugie znaczenie – „wyczynu”, „dokonania” – jest szersze, starsze i wobec pierwszego podstawowe. To właśnie dzięki niemu, powstałe po kilkuset już latach funkcjonowania słowa na „p” określenie zdarzenia dramatycznego jako *performance* istotnie różni się znaczeniowo od tych określeń, które wychodzą od *repraesentatio* czy *spectaculum*; istotnie wzbogaca zatem gamę wyrażen stosowanych częściowo, by pochwycić coś z natury niepochwytanego.

Performans jako występ – jako zachowanie wobec innych – jawi się wobec tego podstawowego znaczenia jako „performans do kwadratu” czy też mówiąc po Schechnerowsku – „performans w dwójnasób”. I wydaje się, że dopiero w tym swoim szerszym aspekcie – ustanawiania, samoustanawiania, tworzenia pewnych kategorii / instrukcji i weryfikowania ich w prowadzonym wedle nich działaniu – pojęcie „performansu” znacząco poszerza nam horyzonty i rzeczywiście wzbogaca perspektywę naszych badań.

W tym aspekcie uważam – jak gdzie indziej pisałem – że opisywane przezeń zjawisko łączy się z samym trybem pracy ludzkiej świadomości, zachodząc na pograniczu tego, co świadomość obejmuje, i tego, co poza nią; stąd performansu nigdy nie da się w pełni objąć dyskursem. Uważam też, że w tym właśnie aspekcie można i należy rozpatrywać „zwrot performatywny” w myśli humanistycznej i w dzisiejszej kulturze; można myśleć o „epoce globalnego performansu”, nie mieszając go na wstępie z Debordowskim „społeczeństwem spektaklu”.

Zwrot ten nie jest niczym nowym, chociaż w ostatnim półwieczu się uwydatnił. Jego zwiastuny można dostrzec znacznie wcześniej; nawet już ukryte w początkach Foucaultowskiej „ery dyscypliny” – w początkach nowoczesności. Wedle moich dzisiejszych przemyśleń, którymi na koniec się podzielę, a którym poświęciłem świeżo napisaną książkę, ważnych – choć pewnie nie jedynek – jego początków można chyba upatrywać

w Niemczech XVIII wieku. W tych Niemczech, które podjęły wysiłek wydzwignięcia się z kulturowej zapaści – z całkowitego politycznego, społecznego i cywilizacyjnego chaosu wywołanego jeszcze wojną trzydziestoletnią – i w których trud owego wydzwignięcia podjęła emancypująca się klasa średnia. Zapisem owego zwrotu, najdoskonalszym jego świadectwem, programem i eksplikacją kluczowej dla niego idei *Bildung* stało się jedno z największych dzieł europejskiej literatury, jeden z najwspanialszych traktatów o miejscu teatru w ludzkim życiu i obok *Fausta* jedno z dwóch dzieł życia Johanna Wolfganga Goethego – *Wilhelm Meister* w swoich dwóch częściach, łącznie pisanych przez autora przez ponad pół wieku. Trudno doprawdy wskazać lepszą książkę o performansie. W ogóle trudno o lepsze książki.

Są inne, liczne świadectwa tego „prazwrotu performatywnego”. Może głębsza nawet prawda, niż się zrazu zdawało, tkwi w rzuconym parę lat temu półzarcie Małgorzaty Sugierey o wyciągającym się z bagna za włosy baronie Münchhausenie jako patronie performatyki. Legenda Münchhausena to przecież wytwór społeczeństwa, o którym właśnie mówię. Znamy ją głównie dzięki zapisowi Gottfrieda Augusta Bürgera, poety „Burzy i Naporu”, a jej popularność wynika może i z tego, jak trafnie i groteskowo wyraziła dążenie epoki – wciąż jeszcze naszej epoki.

O tym podśpiewuję sobie ostatnio przy goleniu i na tym śpiew kończę. Żałuję, że nie mogę być w Gardzienicach i bezpośrednio odpowiadać tym z Państwa, którzy uznają, że pozostawiłem gdzieś niedogolone resztki, ani też pośpiewać sobie w chórze. Mam nadzieję, że wkrótce znajdzie się jakaś okazja, bym to uczynił.